Laura Bellini



Nie wyłączaj tej piosenki

Nie wystarczy wspólny rytm, żeby zaufać

Nie wyłączaj tej piosenki

Nie wystarczy wspólny rytm, żeby zaufać

Laura Bellini

ROMANS

ISBN: 9788384901137

ALL-IN Rafał Płonkowski



SPIS TREŚCI

INTRO 4
Rozdział 1 - Cena ciszy 12
Rozdział 2 - Między nutami 21
Rozdział 3 - Dźwięki, których nie słychać 34
Rozdział 4 - To, czego nie zapisano w nutach 44
Rozdział 5 - Prawo do odmowy 59
Rozdział 6 - Pierwszy raz bez nut 71
Rozdział 7 - Między pragnieniem a prawdą 83
Rozdział 8 - Po drugiej stronie sceny 93
Rozdział 9 - Odwaga niedoskonałości 104
Rozdział 10 - Bez bezpiecznej odległości 115
Rozdział 11 - Miejsce dla dwojga 128
Rozdział 12 - Warunki, których nie uzgodniliśmy 139
Rozdział 13 - Nie wszystko jest na sprzedaż 151
Rozdział 14 - Wszystko, czego możemy nie mieć 162
Rozdział 15 - Prawda zapisana drobnym drukiem 172
Rozdział 16 - Cisza po ostatnim akordzie 183
Rozdział 17 - Własnym głosem 193
Rozdział 18 - Cena właściwej decyzji 202
Rozdział 19 - Na równych prawach 213
Rozdział 20 - Piosenka, której nie wyłączyliśmy 223

INTRO

Pierwszy dźwięk, który wydobyłam ze skrzypiec, zabrzmiał tak obco, że odruchowo spojrzałam na instrument, jakbym przez pomyłkę wyjęła z futerału cudzy. Struna A odezwała się ostro, niecierpliwie, z nieprzyjemnym szelestem smyczka. Przerwałam po trzech nutach. W studiu zapadła cisza, w której słychać było deszcz uderzający o drewniany parapet i cichy trzask pracującego pieca.

— Świetnie — mruknęłam. — Cztery miesiące przerwy i brzmię jak uczennica, która po raz pierwszy zobaczyła nuty.

Oparłam skrzypce o ramię i spróbowałam ponownie. Tym razem palce wykonały dokładnie to, czego od nich oczekiwałam. Technika nigdy mnie nie zawiodła. Nawet podczas ostatniego koncertu, kiedy stałam przed pełną salą Filharmonii Narodowej i miałam wrażenie, że ktoś wyłączył we mnie wszystko poza pamięcią mięśniową, zagrałam bezbłędnie. Publiczność wstała. Dyrygent uścisnął mi rękę. W garderobie dostałam kwiaty, a potem zamknęłam drzwi i przez dwadzieścia minut siedziałam na podłodze, niezdolna nawet do zdjęcia koncertowych butów.

Od tamtego wieczoru nie wystąpiłam ani razu.

Teraz, w drewnianym domu położonym kilka kilometrów od podlaskiej wsi, zamierzałam sprawdzić, czy potrafię jeszcze grać dla przyjemności. Nie dla publiczności, recenzentów ani ludzi, którzy przez lata powtarzali mi, jaka jestem zdyscyplinowana. Przede wszystkim nie dla tych, którzy uważali, że talent zobowiązuje do bezustannego udowadniania swojej wartości.

Na stojaku przede mną leżał zeszyt w granatowej okładce. Zapisałam w nim plan na sześć tygodni. Dziewięć

kompozycji, żadnych aranżacji orkiestrowych, żadnego poprawiania emocji za pomocą elektroniki. Skrzypce, fortepian, czasami gitara. Dźwięki na tyle surowe, żebym mogła usłyszeć własne pomyłki i zdecydować, które z nich naprawdę wymagają poprawienia.

Album miał być mój.

Tak brzmiał pierwszy warunek, który postawiłam, zanim zgodziłam się przyjechać.

Zobaczyłam na ekranie rejestratora migającą czerwoną kontrolkę. Nagrywanie trwało, chociaż przecież nie zamierzałam zachowywać tej próby. Podeszłam do konsolety, odnalazłam właściwy przycisk i wyłączyłam zapis. Wtedy usłyszałam za plecami męski głos.

— Szkoda. Właśnie zaczęło być interesująco.

Odwróciłam się gwałtowniej, niż wypadało kobiecie, która zarabiała na życie precyzją ruchów.

W drzwiach stał wysoki mężczyzna w ciemnogranatowym swetrze, z mokrymi włosami i kubkiem kawy w dłoni. Mógł mieć około czterdziestki. Nie wyglądał jak ktoś, kto zabłądził w poszukiwaniu recepcji. Przyglądał się pomieszczeniu ze swobodą właściciela, choć wzrok zatrzymał na mnie z zainteresowaniem, którego nie próbował ukrywać.

— Studio miało być puste do jutra — powiedziałam.

— Miało.

— To wyjątkowo mało pomocna odpowiedź.

Kącik jego ust drgnął.

— Miłosz Lew. Producent.

Nie wyciągnął ręki, widząc, że nadal trzymam skrzypce i smyczek. Zamiast tego odstawił kubek na półkę obok drzwi.

Znałam jego nazwisko. Słyszałam nagrania, które wyprodukował, a także historię jego zawodowego milczenia. Przez ostatni rok odmawiał wywiadów, nie pojawiał się na branżowych wydarzeniach i podobno odrzucił kilka projektów, za które inni producenci oddaliby miesiące życia. Nikt nie wiedział, czy miał dość muzyki, ludzi, czy samego siebie.

— Celina Dąb — przedstawiłam się, chociaż trudno było uwierzyć, że nie wiedział, z kim ma pracować.

— Wiem.

— W takim razie wie pan również, że zarezerwowałam dziś studio wyłącznie dla siebie.

— Wiem również, że nie zjadła pani obiadu. W kuchni jest zupa.

Spojrzałam na niego z niedowierzaniem.

— Czy to część pańskiej metody produkcji? Wchodzenie bez pukania i kontrolowanie posiłków?

— Nie. To część bycia gospodarzem. Metody produkcji są bardziej irytujące.

Powinnam była się zirytować. W pewnym stopniu rzeczywiście tak było. Nie cierpiałam ludzi, którzy zachowywali się, jakby potrafili odczytać moje potrzeby po pięciu sekundach znajomości. Jednocześnie jego odpowiedź miała w sobie coś rozbrajającego. Nie tłumaczył się nadmiernie ani nie próbował obrócić wszystkiego w komplement.

Zamiast dalej dyskutować, wróciłam na środek pomieszczenia.

— Chciałabym dokończyć próbę.

— Proszę.

Nie wyszedł.

Uniosłam brwi.

— Najlepiej w samotności.

Przez chwilę przyglądał mi się uważnie. Potem skinął głową i odsunął się od drzwi.

— Ma pani rację. Przepraszam za wejście bez zapowiedzi.

Ta zwyczajna odpowiedź zaskoczyła mnie bardziej niż jego wcześniejsza bezczelność. Byłam przyzwyczajona do mężczyzn, którzy traktowali moje granice jak zaproszenie do negocjacji. On po prostu je przyjął.

Już miał wyjść, kiedy zauważył kartkę przypiętą do tablicy korkowej.

— To pani układ utworów?

— Wstępny.

— Widzę, że zostawiła pani miejsce na dziesiąty.

— Nie planuję dziesiątego.

— W takim razie dlaczego numeracja kończy się na jedenastce?

Zacisnęłam usta. Nie chciałam przyznawać, że miał rację. Z mojego planu wykreśliłam dwie kompozycje jeszcze przed przyjazdem, ale pozostawiłam pierwotne numery. Jednej nie potrafiłam zagrać bez przypomnienia sobie ostatniego koncertu. Drugiej nie umiałam dokończyć.

— Bo nie wszystko musi być gotowe pierwszego dnia — odpowiedziałam.

— Z tym się zgadzam.

Wycofał się na korytarz. Usłyszałam jego kroki na drewnianych schodach, a chwilę później ciche zamknięcie drzwi.

Dopiero wtedy wypuściłam powietrze.

Zerknęłam na telefon. Miałam trzy nieodebrane połączenia od mojego dawnego menedżera i wiadomość, której nie zamierzałam otwierać. Odmówiłam już udziału w zimowej trasie koncertowej. Nie interesowały mnie kolejne argumenty o reputacji, zobowiązaniach i okazjach, które zdarzają się tylko raz. Przez lata każda taka okazja kosztowała mnie odrobinę więcej, niż chciałam oddać.

Przyłożyłam smyczek do strun.

Zamiast zaplanowanego utworu zagrałam melodię, której nie zapisywałam od miesięcy. Powstała pewnej bezsennej nocy, kiedy próbowałam przypomnieć sobie, dlaczego jako dziewczynka potrafiłam ćwiczyć godzinami, choć nikt mnie do tego nie zmuszał. Początkowo była prosta, niemal dziecięca. Potem pojawiło się w niej coś niespokojnego, fraza zawieszona w połowie, jak słowo, którego zabrakło odwagi wypowiedzieć.

Grałam dłużej, niż zamierzałam. Deszcz za oknem przycichł. Zapomniałam o telefonie, niedokończonym planie i mężczyźnie, który zbyt łatwo zauważył luki w moim zeszycie.

Kiedy ostatni dźwięk wybrzmiał, usłyszałam ciche kliknięcie.

Rejestrator znów pracował.

Podeszłam do konsolety. Na ekranie widniał nowy plik, oznaczony datą i godziną rozpoczęcia nagrania. Nie dotykałam urządzenia od chwili, gdy wyłączyłam poprzednią

próbę. Mogło uruchomić się automatycznie, lecz nie znałam jeszcze konfiguracji studia.

Wtedy dostrzegłam pozostawiony obok klawiatury telefon. Nie mój. Na podświetlonym ekranie widniało powiadomienie, które zniknęło, zanim zdążyłam odwrócić wzrok.

„Oferta licencyjna — czekamy na potwierdzenie zakresu materiału".

Nie znałam nadawcy. Nie wiedziałam, czy wiadomość dotyczyła mojego projektu. Mimo to poczułam znajomy, nieprzyjemny ucisk w żołądku.

Wzięłam własny telefon i otworzyłam korespondencję z Miłoszem. Miałam czarno na białym zapisane ustalenia: żadne nagranie nie zostanie przekazane osobom trzecim bez mojej wyraźnej akceptacji. Ani próbne wersje, ani fragmenty kompozycji, ani gotowe utwory.

Usłyszałam jego kroki na korytarzu.

Tym razem zapukał.

— Celina? Zostawiłem telefon. Mogę wejść?

Spojrzałam na zapis nowego nagrania. Na wiadomość z umową. Na drzwi, za którymi czekał mężczyzna o głosie równie spokojnym, gdy przepraszał, jak wtedy, gdy prowokował mnie do rozmowy.

— Możesz — odpowiedziałam, świadomie rezygnując z formalnego tonu. — Ale najpierw chciałabym cię o coś zapytać.

Wszedł i zatrzymał się przy progu.

— Słucham.

Nie wskazałam telefonu. Nie zamierzałam oskarżać go na podstawie powiadomienia, które mogło nie mieć ze mną nic wspólnego. Pokazałam mu rejestrator.

— Czy ten system sam rozpoczyna nagrywanie?

Podszedł do konsolety, zachowując między nami niewielki dystans. Pachniał deszczem, kawą i czymś subtelnie drzewnym. Sprawdził ustawienia, a potem pokręcił głową.

— Nie powinien. Sprawdzę, co się stało. Na razie niczego nie będziemy usuwać ani wykorzystywać bez twojej decyzji.

Spojrzałam na niego. Z bliska zobaczyłam drobne zmarszczki przy jego oczach i ślad starego skaleczenia na dłoni. Nie odsunął wzroku, choć milczałam wystarczająco długo, by rozmowa stała się niewygodna.

— Ta melodia była piękna — powiedział w końcu. — Nie słyszałem jej wcześniej.

— Bo jeszcze jej nikomu nie pokazałam.

— Rozumiem.

Nie poprosił, żebym zagrała ponownie.

A ja nagle zapragnęłam, żeby poprosił.

To właśnie zaniepokoiło mnie najbardziej. Nie obcy telefon ani niespodziewane nagranie, lecz świadomość, że po kilku minutach rozmowy z człowiekiem, którego dopiero poznałam, chciałam dopuścić go do muzyki, którą dotąd chroniłam przed wszystkimi.

— Miłosz?

— Tak?

Przesunęłam palcem po zamkniętej okładce granatowego zeszytu.

— Jeśli kiedyś pozwolę ci usłyszeć całość, skąd będę wiedziała, że nadal należy do mnie?

Nie odpowiedział od razu. Spojrzał najpierw na zeszyt, a potem na mnie.

— Będziesz musiała zobaczyć, co zrobię, kiedy nasze zdania się rozejdą.

Przez otwarte okno dobiegł zapach mokrego drewna. Miłosz stał na tyle blisko, że wystarczyłby jeden krok, żeby znalazł się obok mnie, ale go nie wykonał.

Nie wiedziałam jeszcze, czy bardziej chciałam poznać jego odpowiedź, czy sprawdzić, jak długo potrafię zachować dystans wobec człowieka, który zamiast obiecać mi zaufanie, właśnie przyznał, że będzie musiał na nie zasłużyć.

Rozdział 1 - Cena ciszy

Następnego ranka znalazłam w kuchni kartkę z informacją, że śniadanie czeka w lodówce, a studio będzie dostępne od dziewiątej. Pod spodem ktoś dopisał drobnym, pochylonym pismem: „Ekspres robi przyzwoitą kawę dopiero za drugim razem. Pierwszą porcję wylej".

Przyjrzałam się wiadomości i mimowolnie się uśmiechnęłam. Miłosz Lew najwyraźniej należał do ludzi, którzy potrafili zarządzać skomplikowanym sprzętem muzycznym, ale przegrali wieloletnią wojnę z ekspresem. Nie zamierzałam przyznawać, że ta drobna niedoskonałość uczyniła go odrobinę bardziej interesującym.

Za oknem rozciągał się krajobraz, którego nie umiałabym odtworzyć z pamięci nawet po kilku dniach pobytu. Mokre łąki, brzozy, ciemne pasmo lasu i wąska droga znikająca za zakrętem. Dom stał na niewielkim wzniesieniu, daleko od najbliższych zabudowań. Kiedy rezerwowałam pobyt, właśnie odosobnienie wydało mi się największą zaletą. Teraz zastanawiałam się, czy sześć tygodni w towarzystwie człowieka, który potrafił jednym zdaniem podważyć mój plan, nie okaże się trudniejsze niż powrót na scenę.

Miałam trzydzieści cztery lata i przez większość dorosłego życia podejmowałam decyzje na podstawie tego, co było rozsądne. Rozsądne studia, rozsądne kontrakty, rozsądnie dobrany repertuar. Nawet moja przerwa została przedstawiona światu jako rozsądny odpoczynek po intensywnym sezonie.

Prawda była znacznie mniej elegancka.

Nie potrafiłam już słuchać własnej muzyki.

W studiu pojawiłam się piętnaście minut przed umówioną godziną. Miłosz siedział przy konsolecie, ubrany w jasną koszulę z podwiniętymi rękawami. Na ekranie komputera widniała lista plików. Podniósł wzrok, kiedy weszłam, a potem odsunął krzesło stojące obok.

— Dzień dobry. Kawa przeżyła próbę?

— Za drugim podejściem.

— Czyli instrukcja była przydatna.

— Nie przyzwyczajaj się do tego, że będę stosować się do twoich zaleceń.

Uśmiechnął się, lecz zanim zdążył odpowiedzieć, wskazał ekran.

— Sprawdziłem wczorajsze nagranie. Automatyczny zapis był ustawiony na poprzedniej sesji. Nie zauważyłem tego, przygotowując studio. Mój błąd.

Poczułam ulgę, choć nie zamierzałam okazywać jej przesadnie.

— Czy plik pozostał tutaj?

— Tak. Nikt go nie odsłuchiwał poza mną. Potrzebowałem sprawdzić, co zostało zarejestrowane.

— Wolałabym, żebyś wcześniej zapytał.

Skinął głową.

— Powinienem był. Nie powtórzę tego.

Nie próbował przekonywać mnie, że przesadzam. To sprawiło, że zabrakło mi przygotowanego argumentu. Zamiast niego poczułam niewygodną świadomość, że mogę być stanowcza bez konieczności obrony każdego słowa.

— Chcę zachować kopię — powiedziałam.

— Oczywiście. Przeniosę ją na twój dysk. Zostawimy też informację o pochodzeniu pliku, żeby nie było wątpliwości.

Położyłam na biurku granatowy zeszyt.

— W takim razie możemy zacząć.

Miłosz spojrzał na moje notatki, ale nie sięgnął po nie bez pozwolenia. Dopiero kiedy przesunęłam zeszyt w jego stronę, otworzył pierwszą stronę. Przez kilka minut czytał w milczeniu, przesuwając palcem wzdłuż zapisanych przeze mnie uwag. Obserwowałam jego twarz, szukając reakcji, do których przywykłam podczas spotkań z producentami. Zniecierpliwienia, pobłażliwości, szybkiego zachwytu mającego ułatwić późniejsze narzucanie własnych pomysłów.

Nie znalazłam żadnej.

— Chcesz nagrać dziewięć kompozycji w sześć tygodni — powiedział w końcu.

— Tak.

— Każda ma mieć własną strukturę?

— Każda już ją ma.

— Nie o to pytam. Chodzi mi o to, czy pozwolisz strukturze zmienić się podczas nagrywania.

Przyjrzałam mu się uważniej.

— Nie planuję improwizowanego albumu.

— Ja również nie. Ale jeśli przyjedziesz tutaj tylko po to, żeby odtworzyć zapisane nuty, moglibyśmy nagrać wszystko w trzy dni.

— Technicznie prawdopodobnie tak.

— I prawdopodobnie byłaby to bardzo dobra płyta.

Nie spodziewałam się takiej odpowiedzi.

— Słyszę jednak jakieś „ale".

— Ale nie byłaby płytą, po którą przyjechałaś.

Zamknęłam zeszyt.

— Nie znasz mnie wystarczająco dobrze, żeby to oceniać.

— Znam twoje nagrania.

— To nie to samo.

— Właśnie dlatego chcę, żebyśmy pracowali inaczej.

Przez chwilę słyszałam jedynie jednostajny szum wentylacji. Nie podobało mi się, że mówił z taką pewnością o czymś, czego sama nie umiałam nazwać. Jeszcze mniej podobało mi się, że część mnie chciała usłyszeć dalszy ciąg.

— Jaki jest twój warunek? — zapytałam.

Miłosz odchylił się w fotelu.

— Przez pierwszy tydzień nie nagrywamy materiału przeznaczonego na album. Robimy próby, sprawdzamy brzmienie, szukamy tego, co cię naprawdę interesuje. Bez presji ukończenia utworu.

— Nie po to przygotowywałam plan przez dwa miesiące, żeby teraz go porzucić.

— Nie proszę, żebyś porzuciła plan. Proszę, żebyś dopuściła możliwość, że nie wszystko w nim jest potrzebne.

— Łatwo powiedzieć komuś, kto nie będzie później odpowiadał za rezultat.

— Będę odpowiadał za jakość produkcji. Właśnie dlatego stawiam ten warunek.

Poczułam znajome zniecierpliwienie. Ludzie z branży uwielbiali mówić o wolności artystycznej, dopóki nie pojawiała się możliwość rzeczywistego oddania kontroli

wykonawcy. Potem zaczynały się sugestie, konsultacje i argumenty dotyczące rynku. Wystarczająco często słyszałam, że powinnam być bardziej przystępna, odważniejsza albo mniej wymagająca.

— Nie zgodzę się na eksperyment, którego zasad nie znam — powiedziałam.

— Rozumiem. Ustalmy je wspólnie.

Ta odpowiedź ponownie wytrąciła mnie z rytmu.

— Nie próbujesz mnie przekonać?

— Próbuję. Tylko nie zamierzam robić tego przez ignorowanie twoich zastrzeżeń.

Wstał i podszedł do instrumentu stojącego pod oknem. Był to stary fortepian z ciemnego drewna, miejscami porysowany, z jedną wymienioną nóżką. Otworzył pokrywę, nacisnął kilka klawiszy i skrzywił się lekko.

— Słyszysz?

— Drugie F jest odrobinę niższe.

— Dokładnie. Stroiciel przyjedzie w czwartek. Wcześniej chciałbym sprawdzić, czy w którejś kompozycji ten instrument ma sens.

— Rozstrojony?

— Nieidealny. To różnica.

Usiadł i zagrał prostą sekwencję akordów. Nie była szczególnie efektowna. W jego wykonaniu brzmiała jednak tak, jakby każdy dźwięk miał prawo wybrzmieć do końca. Miłosz nie przyspieszał, nie demonstrował umiejętności. Słuchał instrumentu, zamiast zmuszać go do posłuszeństwa.

— Dobrze grasz — powiedziałam, zanim zdążyłam powstrzymać komentarz.

— Wystarczająco, żeby wiedzieć, kiedy przestać.

Odwrócił głowę, a jego spojrzenie zatrzymało się na mnie na sekundę dłużej, niż wymagała rozmowa. Zauważyłam drobny ślad zmęczenia pod jego oczami. Był atrakcyjny w sposób, który nie miał wiele wspólnego z idealnymi rysami twarzy. Przyciągała mnie jego uważność, spokojna pewność ruchów i to, że nie potrzebował każdej chwili wypełniać własnym głosem.

— Nie chcę kolejnej płyty, którą ktoś uzna za poprawną — powiedziałam ciszej.

Miłosz zdjął dłonie z klawiatury.

— W takim razie już w czymś się zgadzamy.

— To jeszcze nie oznacza, że przyjmuję twoje warunki.

— Nie oczekuję natychmiastowej kapitulacji.

— Dobrze. Bo jej nie będzie.

Roześmiał się krótko. Nie był to śmiech człowieka, który uważa rozmówczynię za zabawną wbrew jej intencjom. Raczej kogoś, kto naprawdę czerpał przyjemność z naszej wymiany zdań.

Wróciliśmy do konsolety. Otworzyłam zeszyt i zaproponowałam kompromis: trzy dni prób bez zobowiązania do wykorzystania nagrań, następnie wspólna ocena materiału. Jeśli nie znajdziemy kierunku, wrócimy do mojego pierwotnego planu. Miłosz zastanawiał się przez chwilę, po czym poprosił o czwarty dzień.

— Dlaczego?

— Bo pierwszego będziesz próbowała udowodnić, że twój plan jest doskonały. Drugiego będziesz zła, że nie jest. Trzeciego być może zaczniemy naprawdę pracować.

— A czwartego?

— Zobaczymy, czy nadal będziesz chciała mnie wyrzucić.

Nie wytrzymałam i się uśmiechnęłam.

— Jesteś nieznośnie pewny siebie.

— Bywam. To jedna z moich mniej atrakcyjnych cech.

Przez moment żadne z nas się nie odezwało. Zdałam sobie sprawę, że siedzimy blisko, a między naszymi ramionami zostało niewiele miejsca. Nie przesunął się ku mnie. Ja również pozostałam nieruchoma, bardziej świadoma tej odległości, niż chciałabym przyznać.

W końcu odsunęłam zeszyt.

— Cztery dni. Potem podejmuję decyzję.

— Wspólnie omawiamy materiał — poprawił. — Decyzja dotycząca twoich kompozycji należy do ciebie.

Spojrzałam mu prosto w oczy.

— Zapamiętam te słowa.

— Liczę na to.

Po południu zaczęliśmy pierwszą próbę. Miłosz nie zmieniał moich nut. Zamiast tego poprosił, żebym zagrała jeden z utworów bez metronomu, nie patrząc na zapis. Początkowo odmówiłam. Kiedy jednak pokazał mi, jak zamierza ustawić mikrofony, zaczęłam rozumieć jego zamiar. Nie chodziło o niedoskonałość dla samej niedoskonałości. Chciał uchwycić moment, w którym muzyka przestawała być ćwiczeniem.

Pierwsze podejście było sztywne. Drugie zbyt ostrożne. Przy trzecim zatrzymałam się w połowie frazy.

— Nie potrafię — powiedziałam.

Miłosz wyłączył odsłuch.

— Czego?

— Grać tak, jakby nic nie miało znaczenia.

— Nie prosiłem cię o to.

— Prosiłeś, żebym przestała kontrolować każdy szczegół.

— To nie jest to samo.

Odłożyłam smyczek, zirytowana własną bezradnością.

— Dla mnie czasami jest.

Nie odpowiedział natychmiast. Podszedł do okna i rozsunął ciężką zasłonę. Popołudniowe światło wpadło do pomieszczenia, wydobywając z drewna ciepłe odcienie miodu.

— Celina, nie próbuję odebrać ci kontroli. Chcę tylko, żebyś mogła zdecydować, kiedy naprawdę jej potrzebujesz.

Powiedział to bez nacisku. I właśnie dlatego słowa dotarły do mnie mocniej, niż powinny.

Odwróciłam wzrok, zanim zobaczył, jak bardzo mnie poruszyły.

Kiedy skończyliśmy, na ekranie komputera widniało kilkanaście krótkich fragmentów. Żaden nie nadawał się jeszcze na album. Mimo to pierwszy raz od miesięcy nie odczuwałam rozczarowania po zakończonej pracy. Byłam zmęczona, ale nie pusta.

Miłosz zapisał materiał w katalogu oznaczonym moim nazwiskiem.

— Dostaniesz dzisiaj kopię wszystkich plików — powiedział. — Bez selekcji z mojej strony.

— Dziękuję.

Zamknęłam futerał i ruszyłam do drzwi. Zatrzymałam się jednak, kiedy usłyszałam swoje imię.

— Celina?

Odwróciłam się.

— Tak?

— Ta melodia z wczoraj. Nie musisz jej nikomu pokazywać. Ale jeśli kiedyś zechcesz do niej wrócić, chciałbym posłuchać.

Przez chwilę patrzyłam na niego, szukając ukrytej prośby o zgodę na coś więcej.

Nie znalazłam jej.

— Może — odpowiedziałam.

Uśmiechnął się.

— To uczciwa odpowiedź.

Wyszłam ze studia z dziwnym poczuciem, że wydarzyło się coś ważniejszego niż ustalenie harmonogramu. Przez kilka godzin nie musiałam być wybitną skrzypaczką ani kobietą, która zawsze wie, czego chce. Mogłam być człowiekiem próbującym odzyskać własny głos.

Na schodach zatrzymałam się i spojrzałam przez okno na ciemniejący las. Z dołu dobiegł dźwięk fortepianu. Miłosz grał kilka akordów, potem zamilkł i zaczął od nowa.

Nie rozpoznałam melodii.

Mimo to zostałam na schodach, dopóki nie skończył.

Rozdział 2 - Między nutami

Drugiego dnia obudził mnie zapach świeżego chleba. Przez kilka sekund nie wiedziałam, gdzie jestem. Drewniany sufit, jasna pościel i szmer deszczu za oknem nie przypominały mojego warszawskiego mieszkania. Dopiero kiedy zobaczyłam zamknięty futerał skrzypiec stojący przy szafie, przypomniałam sobie Podlasie, studio i producenta, który uważał, że potrafię stworzyć lepszą muzykę, jeśli przestanę tak usilnie próbować.

Na telefonie czekała wiadomość od mojej przyjaciółki Marty.

„Żyjesz? Czy ten twój tajemniczy producent już doprowadził cię do szału?"

Uśmiechnęłam się i odpisałam, że żyję, a doprowadzenie mnie do szału najwyraźniej stanowi część jego zawodowych kwalifikacji. Marta odpowiedziała natychmiast.

„Brzmi obiecująco. Uważaj tylko, żebyś znowu nie próbowała być dzielna zamiast szczęśliwa".

Odłożyłam telefon.

Marta była jedyną osobą, której powiedziałam prawdę o ostatnim koncercie. Nie tę wygodną wersję o przemęczeniu i potrzebie odpoczynku, lecz o chwili, w której stojąc przed publicznością, poczułam się całkowicie odłączona od własnego życia. Przez długi czas uważałam, że to cena sukcesu. Marta nazwała to utratą siebie.

Nie wiedziałam jeszcze, czy miała rację.

W kuchni zastałam Miłosza krojącego chleb. Miał na sobie ciemne spodnie i sprany T-shirt. Bez wczorajszej koszuli

wyglądał mniej oficjalnie, co wcale nie ułatwiało mi zachowania dystansu.

— Dzień dobry — powiedział, nie odwracając się. — Kawa jest gotowa. Tym razem nawet pierwsza porcja się udała.

— Robisz postępy.

— Staram się zasłużyć na uznanie.

Postawił przede mną talerz i wskazał miejsce przy stole. Usiadłam, czując się przez moment jak gość w domu kogoś, kogo znałam znacznie dłużej niż dwa dni.

— Kto piekł chleb? — zapytałam.

— Pani Zofia z sąsiedniej wsi. Przywozi go dwa razy w tygodniu.

— Jest doskonały.

— Powiem jej. Lubi komplementy, szczególnie od ludzi, którzy nie próbują udawać, że znają się na pieczeniu.

Spojrzałam na niego znad kubka.

— To aluzja?

— Jeszcze nie. Dopiero się poznajemy.

Roześmiałam się, zanim zdołałam zachować powagę. Miłosz odwzajemnił uśmiech, a potem przesunął w moją stronę niewielką kartkę z zapisanym harmonogramem.

— Zanim zaczniemy, chciałbym ustalić kilka rzeczy.

Przeczytałam propozycję. Cztery dni prób, codzienna kopia nagrań, wspólne odsłuchanie materiału po zakończeniu każdego dnia. Żadnych gości w studiu bez wcześniejszej zgody. Żadnego publikowania fragmentów w mediach społecznościowych. Ostatni punkt dotyczył prawa do przerwania sesji bez konieczności tłumaczenia przyczyny.

— To twoja propozycja? — zapytałam.

— Tak.

— Większość producentów, z którymi pracowałam, uznałaby ostatni punkt za katastrofę organizacyjną.

— Większość producentów nie pracowała z tobą przez ostatnie dwa dni.

Przyjrzałam mu się uważnie.

— Co to ma znaczyć?

— Że kiedy coś cię przytłacza, próbujesz grać jeszcze dokładniej. A kiedy przestajesz sobie radzić, przepraszasz za to, że potrzebujesz przerwy.

Nie spodobało mi się, jak szybko to zauważył.

— Nie znasz powodów.

— Nie muszę ich znać, żeby nie dokładać kolejnej presji.

Przez moment patrzyłam na kartkę. Potem wyjęłam długopis i dopisałam własny warunek: wszelkie decyzje dotyczące wykorzystania, udostępniania i komercjalizacji nagrań wymagają osobnej, wyraźnej zgody obu stron. Nie wystarczy ustne ustalenie podczas pracy.

Miłosz przeczytał zapis i skinął głową.

— Rozsądne.

— Nie będziesz negocjował?

— Nie widzę powodu. To twoja muzyka.

Zauważyłam jednak, że przez ułamek sekundy zatrzymał długopis nad papierem, zanim podpisał ustalenia. Mogłam się mylić. Równie dobrze zastanawiał się, czy ma wystarczająco dużo tuszu.

— A twoja praca? — zapytałam.

— Jestem odpowiedzialny za produkcję. To nie daje mi prawa decydowania za ciebie o przyszłości nagrań.

Powiedział to stanowczo. Zachowałam podpisaną kartkę w zeszycie.

W studiu czekała na nas niewielka zmiana. Miłosz przesunął mikrofony i ustawił parawan akustyczny bliżej okna. Zamiast tradycyjnego stanowiska nagraniowego przygotował przestrzeń przypominającą pokój do kameralnych prób.

— Chciałbym dziś usłyszeć, jak grasz, kiedy nie czujesz, że ktoś cię ocenia — wyjaśnił.

— W takim razie powinieneś wyjść.

— Rozważałem to. Ale ktoś musi obsługiwać sprzęt.

— Mogę nagrywać sama.

— Wiem. Pytanie brzmi, czy właśnie tego chcesz.

Otworzyłam usta, żeby odpowiedzieć, lecz po chwili zamknęłam je ponownie. Nie byłam przyzwyczajona do sytuacji, w której ktoś pozostawiał mi wybór bez jednoczesnego sugerowania, jaka powinna być właściwa decyzja.

— Zostań — powiedziałam.

Miłosz skinął głową i usiadł przy konsolecie.

Przez pierwszą godzinę pracowaliśmy nad trzecią kompozycją z mojego zeszytu. Miała roboczy tytuł „Pomiędzy". Powstała kilka miesięcy wcześniej, kiedy zaczęłam rozumieć, że w moim życiu nie ma już miejsca na nic, co nie prowadzi do konkretnego rezultatu. Nie powiedziałam Miłoszowi o tym. Poprosiłam tylko, żeby nie wygładzał nagrania.